

Podziemna wojna

Aktorzy:

John Kennedy - Włodzimierz Press

Porucznik - Wiktor Zborowski

Sierżant Tents - Krzysztof Kowalewski

Plut. Green - Witold Pyrkosz

Partyzant - Adam Ferency

Dystrykt Cu-Chi w pobliżu Sajgonu Wietnamczycy nazywali "Żelaznym Krajem" lub "Krajem Ognia". Amerykanie nazywali tę część Wietnamu, "strefą bezpośredniego ataku". Co to oznaczało? Wyrok śmierci.

Na tę ziemię kierowano nagle w środku nocy ostrzał artyleryjski. Na oślep. Pilotom bombowców wracającym do bazy nakazywano zrzucanie niewykorzystanych bomb właśnie nad Cu-Chi. Żadna z części Wietnamu nie była tak często ostrzeliwana i bombardowana. Na żadną nie spadło tak wiele bomb i pocisków: napalmowych, burzących, odłamkowych, defoliantów.

Dlaczego ziemia rozciągająca się na obszarze kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych wokół Sajgonu była tak bardzo niebezpieczna dla amerykańskich żołnierzy?

Patrol amerykańskiej 25 dywizji piechoty złożony z 13 transporterów opancerzonych minął wioskę Phu My Hung i powoli posuwał się drogą pokrytą rdzawym pyłem, biegnącą przez ryżowiska. Sierżant Terry Tents, który spędził w Wietnamie pięć miesięcy i uważał się za doświadczonego żołnierza, otworzył właz transportera i wychylił się, aby lepiej widzieć teren, gotów w każdej chwili skryć się w bezpiecznym wnętrzu. Wiedział, że w tym rejonie ataki partyzantów zdarzały się bardzo często.

Głos w słuchawkach: "Bosonogi", zwróć uwagę na trzecią. Tam się chyba coś rusza.

Sierżant: OK., patrzę na trzecią.

Tents podniósł do oczu lornetkę i zaczął przeszukiwać teren wskazany przez dowódcę patrolu.

Sierżant: Nic nie widzę, poruczniku. Chyba dzisiaj jest tu czysto.

Minęli pola ryżowe i dojeżdżali do skraju dżungli, gdy eksplodowała mina. Wybuch był słaby i nie uszkodził żadnego transportera. Tents zobaczył, jak z przydrożnego rowu oderwało się kilka sylwetek partyzantów, którzy ostrzeliwując się na oślep biegli w stronę drzew. Zsunął się natychmiast do wnętrza transportera. Odciągnął zamek i przeładował karabin maszynowy M-60.

Zaczął strzelać długimi seriami w miejsce, z którego wyskoczyli partyzanci. Z drugiej strony rozległ się charakterystyczny świst i kilkadziesiąt metrów dalej rozerwał się pocisk moździerzowy. W słuchawkach odezwał się głos dowódcy:

Głos: Skąd, do cholery oni strzelają?! Widzisz coś? Melduj, gdzie są!

Sierżant: Tu nikogo nie ma, poruczniku.

Głos: Wszystkie wozy stop. Zaporowym po krzakach z lewej strony! Wzywam helikoptery.

Sierżant: Poruczniku, powtarzam, tu nikogo nie ma!

Sierżant Tents obracał peryskopem usiłując wypatrzeć nieprzyjaciela. Bitwa, która rozpoczęła się tak nagle, równie nagle zakończyła się. Partyzanci zniknęli.

Po kilkunastu minutach dowódca patrolu nakazał żołnierzom opuścić transportery i przeszukać teren. Nie znaleźli nikogo, jedynie ślady stanowisk ogniowych. Partyzanci zapadli się pod ziemię!

Wtedy, w sierpniu 1966 roku, Amerykanie nie wiedzieli, że tak właśnie było.

Od 1955 roku w Wietnamie Południowym rządził Ngo Din Diem. Obwołał się prezydentem, ministrem obrony i naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Najwyższe stanowiska rozdał rodzinie, która uchwyciła Wietnam żelazną ręką. To podobało się Stanom Zjednoczonym, które szybko doceniły strategiczne położenie tego państwa i zaczęły stopniowo, acz energicznie zwiększać swoje wpływy.

Diem czując, że jest potrzebny Amerykanom, i przekonany, że jego pozycja jest bardzo silna, zatracił poczucie rzeczywistości. Uznał, że na przeszkodzie do pełni władzy stoją mnisi buddyjscy, którzy buntują się przeciwko niemu tylko dlatego, że był katolikiem. Postanowił ich zniszczyć: zakazał urządzania procesji i uroczystości religijnych, zaczął zamykać buddyjskie świątynie.

W maju 1963 r. policja otworzyła ogień do uczestników procesji w Hue. Zginęło 9 osób, a 67 odniosło rany.

W rozpacz i poczuciu beznadziejności mnisi zaczęli stosować najbardziej wstrząsający protest: siadali na ulicach, oblewali się benzyną i modląc się, podpalali.

W Waszyngtonie prezydent John Kennedy patrzył z niepokojem na wyczyny wietnamskiego dyktatora. W maju 1963 roku prezydent powiedział:

John Kennedy: Nie sędzę, aby wojnę tę można wygrać, jeśli nie uzyska się poparcia ludności, a moim zdaniem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy rząd stracił kontakt ze społeczeństwem.

Diem nie miał zamiaru ustąpić. Zagroził Amerykanom, że usunie ich doradców wojskowych. Wtedy do akcji wkroczyła Centralna Agencja Wywiadowcza CIA, która miała wystarczające wpływy, aby zlikwidować krnąbrnego dyktatora.

2 listopada 1963 r. czołgi zbuntowanej armii otoczyły pałac prezydencki. Diem zdołał uciec, ale szybko odnaleziono go zastrzelonego w kościele w Cholon.

W tym czasie w USA nastąpiło wydarzenie, które przesądziło o dalszym rozwoju sytuacji w Wietnamie. 22 listopada 1963 r. w Dallas zginął w zamachu prezydent John F. Kennedy. Jego następca, Lyndon B. Johnson miał całkowicie odmienny pogląd na temat sposobu rozwiązania problemu wietnamskiego. Uważał, że zwycięstwo komunistów w Wietnamie odda ten kraj w ręce radzieckie. A wówczas w bardzo ważnym rejonie świata powstałyby radzieckie bazy morskie i lotnicze. Poza tym amerykański przemysł zbrojeniowy naciskał na prezydenta: wojna to świetny interes.

31 lipca 1964 roku US Navy doniosła z Wietnamu, że dwa jej niszczyciele zostały zaatakowane w Zatoce Tonkińskiej przez kutry północnowietnamskie. Ten incydent nigdy nie został ostatecznie wyjaśniony. Dla prezydenta był to pretekst do zaakceptowania nalotów na Wietnam Północny. Rozpoczęła się wojna.

W lutym 1965 r. amerykańskie lotnictwo rozpoczęło naloty na cele w Wietnamie Północnym w odwecie za atak partyzantów na bazę wojskową w Pleiku. W marcu nastąpiła kolejna seria nalotów w odwecie za atak na bazę Qui Nhon. Był to tylko wstęp do wielkiej operacji powietrznej, której nadano kryptonim "Rolling Thunder".

Ale lotnictwo nie mogło wygrać wojny w Wietnamie.

Po wielu miesiącach bezskutecznych ataków lotniczych wojska amerykańskie przystąpiły do wielkiej lądowej operacji, której nadano kryptonim "Imadło".

7 sierpnia 1966 roku oddziały dywizji nazwanej "Wielką Czerwoną Jedyńką", która zdobyła sławę w czasie II wojny światowej, zostali przerzuceni samolotami transportowymi na lotnisko Phu Loi, a stamtąd śmigłowcami do dżungli.

Kłopoty zaczęły się już w momencie, gdy śmigłowce podchodziły do lądowania. Celny ogień granatników i karabinów maszynowych, prowadzony przez strzelców doskonale zamaskowanych wśród drzew, spowodował poważne straty. Czyżby partyzanci mieli szpiegów w najwyższym amerykańskim dowództwie? To absolutnie niemożliwe. Jak więc mogli przygotować się do odparcia lądujących oddziałów. Skąd wiedzieli?

To był dopiero początek niezwykłych wydarzeń. Patrole wysłane w pogoń za atakującymi partyzantami nie znalazły wroga.

Żołnierze odnajdywali okopy, czasami porzucony w pośpiechu prymitywny sprzęt, ale partyzantów nie było. Pojawiali się nagle, co chwila spośród drzew padały strzały i amerykańscy żołnierze trafiani pociskami snajperów osuwali się na ziemię.

Porucznik Halden, dowódca batalionu, który przeszukiwał dżunglę, uważał, że partyzanci cofają się w stronę rzeki Sajgon. Należało więc jak najszybciej tam dotrzeć. Taki rozkaz przekazał dowódcy pierwszego patrolu porucznikowi Tentsowi.

Jego żołnierze powoli zbliżali się do rzeki. Wroga wciąż nie było widać.

Tents zdecydował się nawiązać łączność z dowódcą batalionu.

Sierżant: Poruczniku, "Bosonogi", mam duże straty, a nie widzę nieprzyjaciela. Te cholerne "żółtki" chyba rozplywają się w powietrzu.

Głos: Ilu straciłeś?

Sierżant: Trzech zabitych, czterech ciężko rannych, jeden lekko.

Głos: Idźcie do rzeki. Jak ich przyciśniemy do rzeki, nie będą mogli się już chować.

Dowódca batalionu wciąż był przekonany, że gdy jego żołnierze dojdą do rzeki, wówczas partyzanci nie będą mieli innego wyjścia jak tylko przyjąć bitwę.

I wreszcie pierwszy patrol doszedł do szeroko rozlanej, wolno płynącej rzeki Sajgon. Sierżant Tents nacisnął guzik radiostacji.

Sierżant: Poruczniku, jesteśmy przy rzece. Nie ma "żółtków"!

Głos: Już wiem. Chłopcy z australijskiej 173 dywizji powietrzno-desantowej odnaleźli tunele. Partyzanci ukryli się pod ziemią. Przeszliśmy nad nimi!

Sierżant: Jakie rozkazy?

Głos: Wracajcie na południe i szukajcie wejść do tuneli!

Mijały godziny żmudnego przeczesywania terenu, a nie udawało się odnaleźć wejścia do podziemi. Aż nagle plutonowy Stewart Green, zmęczony długim marszem, przykucnął na chwilę i wtedy coś go ukłuło. Poderwał się w obawie, że mogło to być jadowite stworzenie i chcąc sprawdzić, co zadało mu ból, rozgarnął trawę. Dostrzegł gwóźdź wystający spod czerwonej gliny. Odrzucił ziemię i zobaczył niewielką drewnianą klapę. Nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak wielki system podziemnych tuneli rozciągał się pod nogami amerykańskich żołnierzy.

Już w 1963 roku oficerowie armii południowowietnamskiej ostrzegali amerykańskich doradców, że partyzanci budują rozległą sieć podziemnych tuneli. Na naradzie zwołanej w Sajgonie przedstawiali, jak trudna jest walka w tych warunkach. Tylko w czasie jednej z operacji przeciwko partyzantom ukrytym w tunelach w rejonie Cu-Chi zginęło 20 żołnierzy wojsk rządowych, a 60 zostało rannych.

Straty partyzantów trudno było oszacować, gdyż nie znaleziono ciał, ale według raportów żołnierzy można było ustalić, że zabito lub raniono dziesięciu partyzantów. Wynik tej bitwy był więc niekorzystny dla atakujących.

Amerykańscy doradcy zapomnieli o tych ostrzeżeniach lub zlekceważyli je. Aż sierpniowego dnia 1966 roku, gdy rozpoczęła się wielka operacja przeciwko partyzantom żołnierze z australijskiej dywizji powietrzno-desantowej odkryli wejścia do tuneli.

Plutonowy Stewart Green stał nad wlotem do tunelu z karabinem gotowym do strzału, gdy nadszedł sierżant Tents.

Sierżant: Znajdzie się bohater, który tam wejdzie?

Plutonowy Green wzruszył ramionami.

Green: Mogę wejść, sierżancie, ale jutro przepustka.

Sierżant: Jak dożyjesz jutra, to dam ci dwa dni.

Przerzucił karabin przez ramię i ostrożnie opuścił się do tunelu. Miał ogromne szczęście. Z reguły tuż pod włazem znajdowała się niewielka nisza, w której ukrywał się partyzant. Czekał na żołnierza, który odważyłby się wejść do tunelu i dźgał go bagnetem w brzuch lub krocze - żeby zranić, ale nie zabić. To miało swoją logikę. Ranny tarasował wejście i musiało minąć wiele minut zanim koledzy wyciągnęliby go z jamy, co partyzantom dawało czas na ucieczkę. Tym razem tak się nie stało.

Green wkrótce musiał odrzucić karabin, gdyż lufa co chwilę zaczepiała o korzenie wystające ze ścian wąskiego i niskiego korytarza.

Pełznął po omacku, gdyż nie zabrał latarki. Od czasu do czasu przyświecał sobie zapalniczką, aby zobaczyć, jak biegnie podziemny tunel. Dotarł do jamy, w której dostrzegł kilku partyzantów. Nie zauważyli go. A może byli tak pewni, że wróg nie odważy się zapuścić pod ziemię, że nie pilnowali tunelu. Green wycofał się. Meldował po wyjściu na powierzchnię.

Green: Doszedłem do jaskini. Tam jest z czterech partyzantów. Nie mogłem strzelać, bo zostawiłem karabin. Dajcie pistolet, bagnety i latarkę.

Plutonowy Green, odpowiednio już uzbrojony, wraz z trzema innymi żołnierzami ponownie wpełzł do tunelu. Doszli do jaskini, ale była pusta. Co dziwniejsze, nie udało się znaleźć wyjścia, przez które partyzanci mogli uciec z jaskini.

Po tym odkryciu Amerykanie szybko zorientowali się, że pod ich stopami rozciąga się wielki system podziemnych korytarzy.

Partyzanci zaczęli kopać tunele w połowie lat 40., gdy rozpoczęli walkę z Francuzami o wyzwolenie Wietnamu spod panowania kolonialnego. Z biegiem lat korytarze wydłużały się, łączyły się z innymi, tworząc podziemny system, przy budowie którego pracowały całe wioski.

Gdy w 1965 roku rozpoczęła się amerykańska interwencja, prace uległy przyspieszeniu. Chłopi nocami drążyli tunele, wynosząc kosze brunatnej ziemi i rozrzucali ją na okolicznych polach, aby nie pozostawiać śladów. W ten sposób powstał system podziemnych korytarzy ciągnących się na długości około 280 kilometrów.

Rejon Cu-Chi sprzyjał podziemnym robotom. Była to laterytowa glina, bogata w związki żelaza. Bardzo spoista. W czasie suszy zastygała jak skała. W porze deszczowej stawała się plastyczna, ale nie przepuszczała wody. Tunele można było kopać tuż pod dnem rzeki, a woda nie przenikała do środka. Wzmacniały ją, jak pręty zbrojeniowe beton - korzenie drzew.

28 września 1967 roku żołnierze koreańskiego 28 pułku odnaleźli instrukcję budowy tuneli. Na tej podstawie można było zorientować się, jak konstruowana jest podziemna sieć.

28 września 1967 roku żołnierze koreańskiego 28 pułku, walczący w Wietnamie, odnaleźli tajną partyzancką instrukcję budowy tuneli.

To była niezwykła lektura.

Instrukcja nakazywała, aby pokrywy wjazdów wykonywać z dwóch warstw desek o grubości 1 cm i szerokości 3-4 cm. Deski pierwszej warstwy należało układać na płask, gdy drugiej warstwy - ustawione były na sztorc. Dzięki temu płyta wjazdu, uszczelniona nylonem, była bardzo sztywna i wytrzymała. Przykrywano ją ziemią i sadzono na niej trawę lub niewielkie krzaki, co bardzo skutecznie zapobiegało ich wykryciu.

Do każdego tunelu prowadziły trzy wejścia oddalone od siebie 40-50 m. Gdy żołnierze amerykańscy odnaleźli jeden wjazd, z drugiego partyzant mógł ostrzelać ich lub tamtędy uciekać.

Po otwarciu pokrywy wjazdu widać było pionowy komin opadający na głębokość 3-4 metrów. Tam załamywał się pod kątem 90 stopni, zamieniając się w tunel, który według instrukcji nie powinien być szerszy niż 120 cm i nie węższy niż 80 cm. Wysokość nie powinna przekraczać 180 cm i nie powinna być mniejsza niż 80 cm. Tunele należało drążyć co najmniej 150 cm pod powierzchnią gruntu, chodziło oczywiście o zabezpieczenie przed zawaleniem pod ciężarem opancerzonego pojazdu lub w wyniku wybuchu pocisku.

Wydawałoby się, więc że tunele były dość wygodne: 180 cm wysokości, 120 cm szerokości. Jednakże rzadko budowano tak obszerne przejścia. W wielu miejscach chodniki zwężały się. W takim miejscu zginął australijski żołnierz, jeden z pierwszych, którzy wdarli się do podziemnego królestwa partyzantów. Ugrzązł w wąskim przejściu nie mogąc ruszyć do przodu ani wyczołgać się. W tym czasie inni żołnierze zaczęli wpuszczać dym do tunelu. Jeden z kolegów usiłował mu pomóc i bagnetem starał się powiększyć otwór. Nie dał rady. Dym zadusił obydwu.

Tunele prowadziły do wystawionych na powierzchnię stanowisk strzeleckich, ukrytych za wysoką trawą lub pod korzeniami drzew. Z nich snajperzy razili nadchodzących żołnierzy amerykańskich. Niewielkie grupy 2-5 strzelców wyborowych błyskawicznie przemieszczając się między tymi stanowiskami mogły zadawać poważne straty nawet dużym oddziałom wroga.

Tunel nie mógł być w linii prostej, lecz musiał zaginać się co kilkadziesiąt metrów pod kątem 90-120 st., co zabezpieczało przed odłamkami granatu wrzuconego do wnętrza. Co 20-30 m wiercono otwory odwadniające na głębokość około 15 metrów. Miały zapobiegać zalaniu tuneli w czasie pory deszczowej, gdy przez otwory wentylacyjne i włazy woda ściekała do wnętrza. Co 100 metrów budowano syfony, czyli jakby kolanka w rurze kanalizacyjnej, które wypełnione wodą bardzo skutecznie zatrzymywały gazy i dym, jaki Amerykanie wpuszczali do środka po wykryciu włazu.

Tunele miały swoje tajemnice, niebezpieczne tajemnice. W wielu z nich instalowano miny, które były odpalane, gdy żołnierze amerykańscy wchodziłi do wnętrza. W wielu były tajne przejścia - włazy maskowane ziemią, pozwalające przedostać się do niższych poziomów podziemnego labiryntu. Najbardziej rozbudowane systemy miały do czterech poziomów sięgających 15-20 metrów w głąb ziemi.

W tym podziemnym labiryncie tuneli, tajnych przejść, komór znajdowało się wszystko, co było konieczne do życia i działania partyzanckiego oddziału.

Były tam przede wszystkim warsztaty, w których produkowano lub naprawiano broń. Tam powstawały granaty z puszek po piwie, miny w puszkach po konserwach, noże z aluminium, a nawet sandały z opon amerykańskich samochodów. Wykorzystanie odpadów było tak wielkie, że amerykańscy żołnierze otrzymali zakaz wyrzucania zużytych produktów.

Życie w tunelach było bardzo ciężkie. Było tam gorąco i duszno. Powietrze docierało z trudem przez szyby wentylacyjne drążone ukośnie pod wiatr i z reguły na wschód, co pozwalało promieniom słonecznym przenikać do podziemi.

Wszędzie unosił się zaduch cuchnącej wody, odpadków, podziemnych szpitali i latryn. Były to z reguły duże gliniane naczynia. Gdy wypełniły się ekskrementami zasypywano je ziemią, i wkopywano nowe. W tych podziemiach chowano również zabitych. Wygrzebywano płytkie jamy, gdzie układano zwłoki. Chodziło o to, aby wróg nie mógł zorientować się, jakie straty zadał partyzantom.

Po wojnie jeden z partyzantów zeznał, że ranni, których układano w podziemnych korytarzach, błagali, aby ich dobić. Woleli śmierć niż dni spędzane w tunelach.

Partyzant: "Krzyczeli, że chcą zobaczyć promyk światła i zaczerpnąć haust powietrza, nie - świeżego powietrza, ale po prostu powietrza. Nie mogliśmy im nic zaproponować - ani śmierci, ani światła, ani więcej powietrza".

Tunele były wylęgarnią małych owadów, niewidocznych gołym okiem. Rozmnażały się na ścianach i stropach. Potem przenikały w głąb ciała i żyły pod skórą powodując nieznośne swędzenie. Pasożyty mógł usunąć jedynie sanitariusz wyposażony w igłę i trochę alkoholu (jeżeli był osiągalny).

Dla partyzantów były to jednak najbezpieczniejsze miejsca na ziemi. Każdego dnia powstawały nowe odcinki tuneli, podziemnych bunkrów, warsztatów i magazynów, drążonych przez chłopów ze wsi w dystrykcie Cu-Chi.

Amerykańskim żołnierzom wydawało się, że odkryte tunele łatwo zniszczyć. Wystarczało wrzucić do włazu granat. Wnet przekonali się, że wybuch czynił niewielkie szkody, gdyż w krętych korytarzach odłamki wbijały się w gliniane ściany. Zaczęli więc wypompowywać wodę do odkrytych włazów, ale ta metoda okazała się bezużyteczna, gdyż budowniczowie tuneli przewidzieli to i drażyli studzienki odwadniające. Również gaz, choć był najgroźniejszym środkiem walki, nie mógł zaszkodzić mieszkańcom podziemnych przejść. Syfony z wodą, jakie umieszczali co kilkaset metrów skutecznie ograniczały rozprzestrzenianie się gazu. Amerykanom pozostało więc podjąć podziemną wojnę.

Zaczęto tworzyć specjalne oddziały, których żołnierze nosili na rękawach mundurów czerwone naszywki z napisem "Tunelowe szczury". Oczywiście wszyscy żołnierze byli ochotnikami. Spośród tych, którzy się zgłosili, wybierano najniższych i najszczuplejszych. Tylko tacy, o posturze zbliżonej do postury Wietnamczyków, mogli poruszać się w wąskich i krętych korytarzach. Ich jedynym wyposażeniem był pistolet, bagnet i latarka. Wszelka inna broń w tamtych warunkach była zbędna.

Nigdy zapewne nie uda się ustalić, ile zwycięstw odniosły "tunelowe szczury" - w oficjalnych raportach nie podawano okoliczności śmierci żołnierzy grup specjalnych. Jedno jest pewne: podziemna wojna była bardziej zażarta i bezwzględna niż ta, która toczyła się w dżungli i na ryżowych polach.

Wojna w Wietnamie, okrucieństwa, ofiary wśród ludności cywilnej i żołnierzy amerykańskich wywołały fale protestów w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Prezydent Lyndon Johnson zrozumiał, że dla milionów ludzi stał się politykiem zbrodni i zrezygnował z udziału w wyborach 1968 r.

W maju 1968 r. rozpoczęły się w Paryżu rokowania pokojowe i jednocześnie ogłoszono program "wietnamizacji wojny", co oznaczało wycofanie amerykańskich żołnierzy i pozostawienie walki z siłami komunistycznymi wojskom południowowietnamskim.

W styczniu 1973 r. traktat został podpisany, a prezydent Gerald Ford zarządził wycofanie 237 tysięcy członków amerykańskiego personelu wojskowego z Indochin. Wojska Wietnamu Północnego po dwuletnich przygotowaniach rozpoczęły w marcu 1975 r. ofensywę na Sajgon, który opanowały 30 kwietnia 1975 r. Wojna wietnamska zakończyła się.

Do dzisiaj pod Sajgonem pozostały podziemne tunele. Ślad wojny, której największa militarna potęga świata wygrać nie mogła.